

Jacek Y. Łuczak
TYLKO NIE ŚPIJ 2



Jacek Y. Łuczak

TYLKO NIE ŚPIJ 2

© Copyright by Jacek Y. Łuczak & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo
Zdjęcie na okładce: Rafał Karcz

ISBN 9780-83-7859-098-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Większość zdarzeń jest częścią rzeczywistości. Ale są też takie, które dzieją się w jej okolicy.

Życie, które toczy się po drugiej stronie powiek, bywa o wiele ciekawsze od tego zwykłego.

Naukowcy mówią, że sen jest tym dla duszy, czym ubikacja dla ciała. Tyle tylko, że po śnie nie ma czym splukać.

A niektórych ludzi sen może tak przycisnąć, że nawet nie będą w stanie zdążyć do łóżka.

Snu nie można nikomu pożyczyć. Choć ujawniło się kilku twierdzących, że to zrobili. Do dziś są pacjentami zakładów o charakterze zamkniętym.

Powszechne jest przekonanie, że sen jest bezpieczny. Ale co zrobić, gdy to, co śnimy, wydarza się naprawdę, ze wszystkimi konsekwencjami? Co wtedy, kiedy nie da się powiedzieć: „Spokojnie, nie mogą mnie zabić, to tylko sen”?

No cóż, wtedy mamy przechłapanie.

- Pępek!
 - Co?
 - Oni mają pępek!
 - Kto? – Sandra próbowała zrozumieć zaskoczenie Stevena.
 - Adam i Ewa. Zobacz sama.
- Spojrzała. Rzeczywiście, na obrazie Adam i Ewa mieli pępki.
- No i...?

- Dobry kotek – wydusił z siebie Bob Schredinger.

Zwierzę nawet nie drgnęło. To dlatego koty są kompletnie nieprzydatne w energetyce.

- Czy ty w ogóle żyjesz, Kundlu, głupi futrzaku, czy jak ci tam?

Kundel drgnął. Przynajmniej tak się Bobowi wydawało. Rudy kot z białym krawatem chyba lekko przechylił głowę, ale brakowało pewności, w którą stronę. Kundel siedział w pozycji wyczekującej. Tylko koty potrafią tak siedzieć – z nieruchomymi oczami wyrażającymi nadzieję, że człowiek zaraz wyciągnie zza pleców sztuczną myszkę do zabawy i zacznie mówić wiele rzeczy bez sensu. Jedną z nich jest „kici, kici, zobacz, co ja tu dla ciebie mam”. Wszyscy wiedzą, że koty lubią te słowa, ale wypowiedane jedynie z towarzyszeniem dźwięku otwieranej puszeki z tuńczykiem.

Pan Schredinger uchodził za dziwaka. Zresztą nie tylko on, ale także cała jego kolekcja zwierząt, które nazywał domowymi. Hodował na przykład żabę, prawdopodobnie jedyną na świecie, która nosiła muchę wyłącznie dla ozdoby.

Pan Schredinger był gruby, choć znajomi zawsze powtarzali mu, że po prostu dobrze wygląda. Problem w tym, że z roku na rok wyglądał coraz lepiej.

Prawda była taka, że utknął gdzieś pomiędzy korpulentnością a przysadziistością. Był człowiekiem, ale wystarczyłoby, żeby jego ojciec 62 lata temu poszedł do kuchni, zamiast do sypialni, w której czekała na niego żona, a z pewnością pan Schrodinger byłby teraz potężnym naleśnikiem.

Ważył 120 kilogramów i mieszkał sam. Nigdy nie miał żony, tym bardziej dzieci. To akurat nie dziwiło, bo jak może rozmnażać się ktoś, kogo interesuje tylko jedzenie?

Bob ze szczególną ciężką obchodził jedno tylko święto w roku – Światowy Dzień Otyłości. Nigdy jednak nie ustalił, czy tego dnia walczy się z nadwagą, czy też z niedowagą. Więc zawsze bez stresu wybierał drugą, przyjemniejszą wersję.

Pan Schrodinger spojrzał niechętnie na ściszony nieco telewizor, w którym potwornie nudny prezenter lokalnej telewizji TS News nadawał jeszcze nudniejszą relację sprzed miesiąca z wręczenia nagród w corocznym konkursie plastycznym mieszkańców domu spokojnej starości w Towerstone. I chyba zasnął.

– No... przecież oni mają pępki! – prawie wykrzyczał Steven. Prawie, bo znakomita akustyka w Muzeum Historii Naturalnej w Denver wymuszała mówienie szeptem. Zwłaszcza w sali, gdzie wisiała reprodukcja obrazu Rubensa.

– A nie powinni mieć? – zdziwiła się Sandra.

– Jak mogą mieć pępki, skoro byli pierwszymi ludźmi na świecie? Oni się przecież nie urodzili, tylko zostali stworzeni, a Ewa to nawet z żebra Adama. Podobno.

Część umysłu Sandry, odpowiedzialna za zrozumienie kwestii wiary, właśnie runęła niczym stary budynek. Choć dwie z czterech ścian nośnych wciąż trzymały się niespodziewanie mocno w pozycji pionowej.

– Chyba musimy już iść. Mieliśmy być w autobusie o pół do trzeciej – zauważyła.

Wycieczka szkolna z Towerstone do dużego miasta mogła zostać uznana za całkiem udaną. Może poza tym, że Sandra przez ostatnią godzinę częściej trzymała się za brzuch. Przyczyn mogło być kilka. Jedna z nich lekko zmroziła Stevena.

Ale przecież oni nigdy... ma się rozumieć, że w sumie, czemu nie... tyle że, no jakby, nie było takiej okazji... I w ogóle...

Pukanie, a właściwie walenie do drzwi obudziło pana Schredingera. W normalnych okolicznościach ocknąłby się po usłyszeniu dzwonka, ale grubasowi od sześciu lat nie chciało się naprawić prostego urządzenia elektrycznego.

Samo podejście do drzwi było dla Boba Schredingera podróżą. Dlatego nie cierpiał podróży.

W otwartych drzwiach ukazał się człowiek tak mały i jednocześnie okrągłutki, że w sprzyjających okolicznościach mógłby się stać naturalnym satelitą pana Schredingera. Prawdopodobnie wystarczyło podejść do niego nieco bliżej, a grawitacja zrobiłaby swoje. Na jego szczęście Bob trzymał bezpieczny dystans.

To był Wściekły Dwayne. Jeśli ktokolwiek w Towerstone widział go kiedyś uśmiechniętego, prawdopodobnie nie żyje już od bardzo dawna.

Bo to nie był ani Zły Dwayne, ani Zdenerwowany Dwayne, ani nawet Poirytowany Dwayne. To był prawdziwy Wściekły Dwayne – człowiek, który prawdopodobnie nigdy w życiu nie powiedział dobrego słowa. Ale czy może być miły ktoś, komu dzieci codziennie, wracając ze szkoły, robią najbardziej wredne numery świata? Nie. Taki człowiek nie może być wesoły. Wesołe są jedynie dzieci, bo które z nich odmówi sobie przyjemności

sprawdzenia, czy Wściekły Dwayne rzeczywiście tak zabawnie spleni, jak mówią?

– Gwie, do cholery, maf pan tego pfekłętego kota?!

„Faktycznie, niezłe” – pomyślał sarkastycznie większy z rozmówców. W duchu wszystkie fałdy tłuszczu na jego brzuchu zrobiły właśnie meksykańską falę. W rzeczywistości tylko lewy kącik ust pana Schredingera uniósł się nieznacznie, jednak nie na tyle, by pozwoliło to Wściekłemu Dwayne’owi rozpoznać w tym ruchu jakąś kpinę.

Bob już znał powód wizyty sąsiada. Znowu chodziło o kury. Ilekroć w jego kurniku padał ptak tajemniczo zagryziony przez nieznane zwierzę, Wściekły Dwayne przychodził się wykrzyzczyć, obwiniając Kundla. Kurę tracił średnio raz w tygodniu, toteż pojawiał się u Boba dość regularnie. Dlatego mieszkańcom Towerstone wydawało się czasem, iż są przyjaciółmi.

Lecz było przeciwnie. Bob nie cierpiał Dwayne’a. Uważał wręcz, że jeden dość szybko wyprowadzony lewy sierpowy załatwiłby sprawę. Tyle tylko, że Bob był ostrożny i przewidujący. W miejskim areszcie nie było telewizora.

– A dostrzegasz pan w pokoju kota? – w pytaniu było wiele ukrytej złośliwości.

– Doffegam.

– I co on robi?

– Fiewi.

– A więc, czy siedząc może jednocześnie biegać, zagryzając inne zwierzęta?

– Niech mi pan tu ofu nie mydli! Dobwe pan wief. Ffyffy dobwe wiewą, we to wabójfa!

Pan Schredinger jeszcze raz odwrócił głowę w kierunku pokoju. Kundel z kocim wdziękiem i niezwykłą łatwością zaczął na dywanie wykonywać językiem tę charakterystyczną czynność pielęgnacyjną, z którą człowiek nigdy sobie nie radził samodzielnie.

– Pfed chwilą wagływł mi kułę!

– Zapewniam, że to niemożliwe. Donikąd nie wychodził. I ja też cały czas tu byłem.

– Beknief pan kiedyś za niego, kurfe blade, beknief.

Intrygujące, że tracąc jedną kurę tygodniowo, gospodarstwo Wściekłego Dwayne’a jeszcze funkcjonowało. Możliwe, że świat wciąż nie docenia możliwości rozrodczych drobiu.

Autobus stał na poboczu od dobrych kilku minut. Młodzież z zaciekawieniem spoglądała przez okna, wypatrując powodu opóźnienia. Niektórzy przez telefony komórkowe już informowali swoich rodziców w Towerstone, że nie zdążą na kolację.

Przyczyna postoju stała zgięta wpół za drzewem.

No tak – pomyślał Steven. – Hamburgerki, frytecзки, lodziki, deserki. Takie rzeczy zawsze się mszczą.

Na komisariacie w Towerstone było tego popołudnia spokojnie, dopóki do holu nie wtoczył się Josh. Początkowo było widać tylko ruch skrzydeł podwójnych uchylonych drzwi, dopiero po chwili, gdy już poszukała jakiegoś oparcia, z okolic podłogi wynurzyła się znajoma postać.

Josh nie należał do trzeźwych. Praktycznie nie wychodził z upojenia, a jeśli się to przypadkiem zdarzyło, pewna część jego ciała błyskawicznie dawała znak innym, że był to błąd. Czasem miewał, co zaskakiwało jego sąsiadów, przemyślenia. Najślynniejszą myślą była ta sprzed czterech miesięcy, kiedy próbował pomóc dzieciom zbudować olbrzymi zamek z piasku. Zrezygnował po upływie zaledwie kwadransa, oznajmiając, że nie rozumie, jak można bawić się przez cały dzień w piaskownicy bez alkoholu.

Josh wiódł dość prosty żywot. Od dłuższego czasu. Konkretnie od wygranej na loterii. Kiedy był jeszcze trzeźwy, niezłe działające wówczas partie mózgu poprosiły go o przelanie pieniędzy na lokatę, co spowodowało, że mógł rzucić pracę w ubojni i w zasadzie w nie-skończoność żyć z procentów.

I promili. Wszelkich dostępnych na planecie.

Josh był dziwnym człowiekiem. To jemu zdarzało się zwykle to, co reszta społeczeństwa uznaje za niemożliwe lub niewiarygodne.

W przedszkolu na przykład przeżył otwarte złamanie nosa. Dziesięć lat później, kiedy odnalazł w sobie pewną pasję i zaczął kolekcjonować roślinne środki wykrztuśne, został prawdopodobnie pierwszym człowiekiem świata, który stojąc na ziemi, spadł z dużej wysokości. To było akurat wtedy, kiedy z niewiadomych przyczyn zawałiła się część szkolnego boiska do baseballu. Ale miewał też szczęście. Rok po tym wypadku jego pies wygrał szkolny plebiscyt na szczura roku.

Dlatego alkohol stał się dla Josha odskocznią od rzeczywistości. Wybił się z niej tylko raz i dotychczas nie spadł. I miał bardzo silną wolę. Kiedy mówił, że wypije, to pił.

Pił wszystko, co miał w danej chwili pod ręką, dopóki płyn nie odsłonił dna naczynia.

Kiedy Josh wtoczył się na posterunek, miał już we krwi pół tablicy Mendelejewa.

– Zięndoby. Chsiaem zapytaś, szy w saym mieśsie jes tak, że ten, tego... szytyko umie w domu schońszy siepiwo?

– Odwiozę cię do domu, Josh – stwierdził posterunkowy szósty raz w tym tygodniu.

Była sobota.

Na ulicy Klonowej Ron z wrażenia aż przystanął. Wcześniej nie kojarzył tego miejsca z takim wstrętnym zapachem. Odruchowo obejrzał podeszwy butów. Ale jedyną rzeczą, która się do nich przykleiła, była stara różowa guma do żucia.

– He, he – zaśmiał się głośno do siebie. – Nie wierzę, że produkują już takie coś...

Prędzej uwierzyłyby w czosnkową pastę do zębów albo lody o smaku smalcu.

Przysiadł na krawężniku, zdjął but, nie bez trudu odkleił gumę małym patykiem i zbliżył ją do nosa. Zapach był wypadkową wanilii i jogurtu owocowego.

– Zdziwiająca.

To na pewno nie była ta woń. Nieznośna woń.

– Pieprzyć to.

Do siebie mówił wiele różnych słów. Nawet te powszechnie uznane za wulgarne.

Ron był dobrym kumplem Stevena. Nie przyjacielem, ale kumplem, z którym fajnie chodzi się do kina, od którego świetnie pożycza się komiksy, takie już bardziej dla dorosłych, i z którym można pogadać o dziewczynach ze szkoły. Zwłaszcza o tych, z jakimi jeszcze się nie chodziło.

Choć Steven i Sandra go namawiali, nie pojechał na szkolną wycieczkę do Muzeum Historii Naturalnej do Denver. Nie była obowiązkowa. Poza tym Ron uważał, że nauka dla samej nauki jest bez sensu.

Spojrzał na zegarek i uznał, że jego koledzy powinni już dojeżdżać do Towerstone. Odwrócił głowę w kierunku ulicy. Usłyszał przeraźliwy pisk opon, po trzykroć dźwięk klaksonu i serię wyzwisk, których jeszcze nie znał, ale z którymi chętnie by się zapoznał. Nie zwrócił jedynie uwagi, czy odbyło się to w takiej właśnie kolejności.

Auto minęło go z zaskakująco dużą prędkością i w tak niewielkiej odległości, że niemal poczuł, jakich związków użyto do produkcji lakieru.

– O matko... – wykrztusił w osłupieniu.

Aby się dostać do krainy wiecznych łowów, zabrakło mu może dwóch i sześciu dziesiątych centymetra. Był tak zaskoczony, że nie pomyślał nawet o przyjrzeniu się rejestracji samochodu.

Zepsute powietrze odeszło tak nagle, jak się pojawiło.

Chłopak złapał trzy, może cztery spokojniejsze oddechy i ruszył przed siebie.

Szedł po Książkę.

Dochodziła siódma wieczorem, a szkolny autobus był ledwie w połowie drogi z Denver do Towerstone. Żołądek Sandry zafundował wycieczce już trzy postoje, ale obecnie wydawało się, że podpisał z Burger Kingiem tymczasowy rozejm.

Było jej trochę wstyd. Tak jest wstyd tylko dorastającej nastolatce.

Wokół niej i Stevena w środkowej części autobusu zebrał się spory tłumek. Lecz rówieśnicy nie byli bynajmniej zainteresowani tym, czy Sandra przygotowała kolejne niespodzianki, tylko treścią rozmowy, która toczyła się mniej więcej nad jej głową. Uczestniczył w niej sam pan Derek Friedel, ich nauczyciel fizyki. Dzieciaki go uwielbiały, bo potrafił wszystko wytłumaczyć, nawet najbardziej skomplikowane zagadnienia teorii względności, a na lekcjach przeprowadzał dla nich eksperymenty, których w naturalnych warunkach nie podejmują się najwięksi szaleńcy.

Nigdy się nie przyznał, ale prawdopodobnie właśnie po jednym z takich eksperymentów zapadła się część szkolnego boiska do baseballu.

Poza tym incydentem, doświadczenia były raczej bezpieczne, nie licząc tajemniczego zniknięcia w biały dzień brązowego zagajnika na tyłach szkoły i czterech myszy z laboratorium, z których jedna odnalazła się po tygodniu w pracowni fizycznej. Razem z klatką. Niewyjaśniona pozostała także niezwykła przemiana szczura Kleofasa w niewielkiego kanapowego psa oraz trzy przypadki samoczynnego wirowania sprzętu sportowego w sali gimnastycznej. A na znikające z klas i odnajdujące się w pobliżu śmietnika dzienniki nauczycielskie grono profesorskie przestało już zwracać uwagę.

Derek był też nieco nieudolnym konstruktorem maszyn mających ułatwiać codzienne życie. Jego największe dzieło w szkole zostało nazwane bezrobotem kuchennym.

– Skoro prędkość światła jest stała, a wszystko wokół względne, to znaczy, że to wszystko dostosowuje się do prędkości światła? – dedukował Steven.

– Tak można w skrócie przyjąć – odparł nauczyciel.

Z Friedelem można było porozmawiać o wszystkim. Na jego lekcjach fizyka teoretyczna zamieniała się z zimnej i wyrachowanej psychopatki w ciepłą i przyjazną babcie. Czy jakoś tak...

– Czyli że jak gasimy światło w pokoju, a potem nagle włączamy, to przestrzeń i czas może dzięki temu ulegać deformacji? – ciekawość czasami zadziwiała samego Stevena. – To by znaczyło, że podróże w czasie są bardziej możliwe niż nam się wydaje!

– Hi, hi. Teoretycznie tak – nauczyciel próbował zrozumieć pytanie. – Tylko raczej nie w tak małej skali. Chociaż...

– Wychodzi na to, że jednak można przenosić się jednocześnie w czasie i przestrzeni! – dodał ktoś z tyłu.

Z rozmowy powoli zaczynało wynikać, że wszystko we wszechświecie zależy od dobrego oświetlenia.

– Światło jest tym dla astronomii, czym hamburger dla gastronomii – zażartował Friedel.

Gdyby wzrok Sandry mógł zabijać, wszyscy byliby teraz martwi.

– Znaczy, że kiedy światło nie świeci, to te same rzeczy w pokoju mogą wyglądać zupełnie inaczej niż przed zgaszeniem lampy – w lekkim półmroku w autobusie nie było widać chojraka, który z czwartej orbity wokół nauczyciela wygłosił tę tezę.

– Światło nie może nie świecić, baranie. To właśnie brak światła nie świeci – głos dobiegł z tej samej okolicy. Zaraz potem rozległo się kłaśnięcie jednej dłoni. Bardzo możliwe, że o czyjeś czoło.

– A jeśli samochód jedzie w nocy z prędkością większą od prędkości światła, to tak naprawdę cały czas jedzie w ciemnościach? – ktoś inny niezbyt fortunnie próbował zmienić temat.

– To zbyt daleko idące porównanie – uznał Friedel. – Ale cieszę się, że was to interesuje. Ta ciekawość na pewno kiedyś wam się zwróci.

– Bardzo śmieszne – wymamrotała Sandra.

Towerstone było typowym małym amerykańskim miasteczkiem, rozłożonym na dość dużej przestrzeni, co sprawiało wrażenie, że składa się wyłącznie z przedmieścia. Z trzech stron, tworząc mniej więcej kształt podkowy, otaczały je wzniesienia Macklehorn, których nazwa wzięła się zupełnie od niczego. Od wschodu rozciągało się Pasma Wschodnie, od południa Pasma Południowe, a od zachodu Pasma Zachodnie. Geneza ich nazw była wystarczająco zrozumiała zarówno dla geografów, jak i

filozofów. W mieście panowało jednak naturalne przekonanie, że twórcy nazewnictwa niezbyt się wysilili.

Wzgórza były w wyglądzie niezwykle monotonne – bez prawdziwych szczytów do zdobycia i bez głębokich dolin. Nie rosły tam drzewa ani krzewy, nikt nie spotkał na wzniesieniach kwiatów. Góry, bo tak je określali na co dzień mieszkańcy Towerstone, wybijały się ledwie dwieście metrów ponad płaszczyznę miasteczka. Zimą najwyższe partie, zwłaszcza te od południa, pokrywały się cieniutką śnieżną czapą, ale już wczesną wiosną nie było po niej śladu. Wycieczki w tamte rejony nie należały do najciekawszych. Nie było tam nic wartego zobaczenia, nikt też nie mieszkał w pobliżu gór. A mimo to jeszcze przed kilkoma laty można było z daleka obserwować maleńkie sylwetki wspinających się na nie z uporem turystów. Wszyscy byli Polakami, których pragnienie zdobycia czegokolwiek jest silniejsze od wszystkiego innego. Mieszkańcy Towerstone zwykle ich ignorowali. Polacy nie byli zbyt interesującymi turystami – zazwyczaj nie schodzili do miasteczka, bo żal im było paru dolarów na normalny nocleg. Woleli nocować pod namiotami, a do przeżycia wystarczała im zgrzewka mielonki.

Do miasta można było dojechać tylko z jednej strony, z tej właśnie, z której kończyły się ramiona podkowy Macklehorn. Tuż przed wzniesieniami trzeba było minąć dwa Kwadratowe Lasy, leżące po obu stronach drogi.

W ostatnim domu przed wyjazdem z miasta mieszkał starszek Al Corn.

Al Corn był jedynym, który pamiętał.

On miał Książkę.

Tysiące kilometrów na południe, w górskiej wiosce w dżungli niedaleko Medellín, dwaj kolumbijscy przemycnicy narko-

tyków siedzieli przy starym drewnianym stole nad szklaneczkami whisky.

– Co tak dziwnie pachnie? – zapytał jeden z nich.

– Nie wiem, może mój nowy dezodorant... – odpowiedział drugi.

– Sorry, facet, ale on raczej nie jest nowy.

Zza najbliższego drzewa padły dwa strzały. Oba celne.

Zmierzchało powoli w Towerstone. Za zachodnią częścią pasma Macklehorn słońce skrywało się wcześniej niż za naturalnym horyzontem. W związku z tym zmrok w mieście nie zapadał tak nagle, jak gdzie indziej. Bowiem zanim słońce ostatecznie się schowało na noc, przez jakąś godzinę dawało trochę słabszego, bo pośredniego, ale cały czas dziennego światła.

Ron zapukał mocno, bo stary Al Corn był bliższy całkowitej utraty słuchu niż nosorożec biały wyginiecia. I w oczekiwaniu usiadł spokojnie na drewnianych schodach wejściowego tarasu. Czas między pukaniem a otwarciem drzwi przez staruszka każda telewizja wykorzystałaby na nadanie przynoszącego dwa miliony dolarów zysku bloku reklamowego.

Drzwi domu Al Corna otworzyły się prawie bez skrzypienia. Ronowi ukazał się zgarbiony i wychudzony człowiek. Był tak wąty, że niewiele brakowało, a nie rzucałby cienia. Nic dziwnego, miał 109 lat. Ludzi w jego wieku zwykle nie widywało się w pionie.

– Czego chcesz, dziecko?

– To ja, Ron. Przyszedłem po Książkę.

Starał się powiedzieć to słowo od dużej litery.

Bo to nie była zwykła książka.

To była Książka.

– Dzieci nie powinny jej czytać – odparł krótko starszek i zamknął drzwi.

Ron nie poddawał się.

– Umawialiśmy się przecież – powiedział do kłamki. – Zresztą, mam już prawie osiemnastkę.

– Wszystkie dzieci tak mówią – odparła kłamka.

– Naprawdę, za trzy tygodnie mam urodziny. Mogę panu pokazać prawo jazdy.

Chłopak czuł się jak w sklepie monopolowym.

– Pokaż.

Drzwi znów się otworzyły. Wysuszona, chuda ręka przysunęła dokument do oczu.

– Wejdz.

Kawałek dalej, na Osiedlu Zasłużonych, Leroy Cutt znalazł na trawniku przed swoim domem martwą świnkę morską. To był Puddy, długowłosa dorosły samiec.

Osiedle Zasłużonych nie różniło się od pozostałych osiedli w Towerstone. Stały tu takie same domy z identycznymi równo przyciętymi trawnikami, jak w innych częściach miasta. Jedyną różnicą było to, że mieszkali w nich tak zwani zasłużeni. Pan Cutt wslawił się na przykład tym, że trzy lata temu odmalował salę posiedzeń w ratuszu.

To prawda, brakowało w Towerstone prawdziwych bohaterów.

Leroy Cutt stracił Puddy'ego. Wprawdzie miał czterdzieści pięć innych świnek morskich, ale każde z jego zwierzątek miało swoje imię, a on je wszystkie pamiętał. Mówił do nich, opiekował się nimi, budował im coraz to nowe labirynty i urządzenia do zabawy, niektóre nawet ubierał w śmieszne ciuszki. Wszystkie, które zdychały, chował za domem w ogródku i stawiał im

maleńkie nagrobki. Rotacja świnek morskich była dość intensywna, dlatego tyły posiadłości wyglądały jak miniaturowy cmentarzyk.

Kilka lat wcześniej odeszła od niego żona. Nie rozumiał, dlaczego.

Leroy Cutt był nieznacznie brzydszy od musztardy, więc rzadko pokazywał się publicznie. Swoje talenty próbował rozwijać głównie w domu. Kupował mnóstwo papieru maszynowego i pisał. Uważał się za najlepszego poetę dekady. W pewnym sensie miał rację. Ostatnie wydanie jego wierszy w wersji książkowej zrobiło furorę na rynku surowców wtórnych.

Puddy był martwy.

Wyraźnie jednak nie odszedł ze starości.

Puddy został zamordowany.

Ten, kto zabił Puddy'ego, nie był mordercą doskonałym. Zostawił ślady w postaci czterech charakterystycznych dołeczków po dolnych i górnych siekaczach.

Leroy Cutt nie miał wątpliwości, do kogo udać się po zaśluszczenie.

W zupełnie innym miejscu na świecie, w południowo-zachodnich Niemczech, Dieter Organik kopał. Robił to od dziecka, więc nikogo z jego znajomych nie zaskoczyło, że został paleontologiem.

Dawna kopalnia odkrywkowa węgla brunatnego była znakomitym miejscem badań. Znajdował tu już setki odcisków dawnych roślin i zwierząt. Przed laty wykopał na przykład maleńki szkielecik przypominający pozostałości nielotnego ptaka.

Tego dnia wstał jeszcze przed świtem. Miał przeczucie, że coś się wydarzy. I nie mylił się.